

Z koron drzew wysoko nad jej głową wyleciał ptak. Jego wrzask przeciął leśną ciszę. Strzała przeszła niebo nad lasem.

„Ptaki srają ci na głowę!” – powiedziała babka.

Ula schyliła się odruchowo. Jakby to miało jej pomóc. Kiedy się podniosła, na niebie został jedynie ślad strzały w drgającym powietrzu. I tyle.

Parę metrów od niej ciotka Gosia szła zgięta w pół jak scyzoryk. Węszyła z nosem przy ziemi. Przeszukiwała wzrokiem poszycie lasu, jak bocian. Zaraz padnie dziobem między mchy.

Ula szła za nią krok w krok. Nie bała się zgubić w lesie. Bała się zgubić ciotkę.

– Znasz się? – zapytała Ula.

– Znam – odpowiedziała ciotka, wciąż w pozycji wykrywacza metali. – Tak trochę.

– Tak trochę czy znasz się? – Uli nie pasowała odpowiedź Gosi.

Kobieta w końcu wyprostowała się i odwróciła w stronę dziewczyny.

– Znam się – zapewniła. – O tutaj.

Ula nachyliła się nad miejscem, które wskazał kijek ciotki. Lekkie wybrzuszenie ściółki. Ktoś próbuje wydostać się na zewnątrz. Ktoś albo coś.

– Kurka.

– Może.

– Na pewno. Nie wierzysz? – Ciotka spojrzała jej w oczy. – Nie wierzysz mi?

Ula wzruszyła ramionami. Bolały ją plecy. Bolała głowa od wyęźniania wzroku. Zrobiło się zimno. I cicho. Za cicho jak dla niej.

– Jak nie chcesz, to nie zbieraj. – Ciotka znowu pochyliła się przed siebie.

– Wiem. Przyszłam tu z tobą. Dla towarzystwa.

– Cieszę się. – Kobieta mruknęła już zza drzewa.

Utonęła w gęstych krzakach, między paprociami.

Ula znała ten las i nie znała. Bywała tutaj, jak to się bywa w lesie. Wdycha się powietrze. Słucha się ptaków i szumu drzew. Wlokła się zazwyczaj za babką albo za ciotką, jak teraz. Żadnego grzyba nigdy nie znalazła, nawet jak babka stanęła obok niej, marszczyła nos i mówiła ni to do siebie, ni to do Ulki: „Pachnie grzybem”. Ula żadnego nie widziała, nawet gdyby w niego wdepnęła. Widocznie węch też miała kiepski. „Niemiała Bogu ofiara, chodź, ciele, do obory” – jęczała jej przez ramię babka i jednym zdecydowanym ruchem zaostrego kija odcinała grzyb. Dziewczyna nigdy by go nie znalazła, bo nie chciała.

Wolała nasłuchiwać. Słuchała lasu. Tak jak teraz.

Tym razem krzyk był dłuższy. Wysoki i przeciągły jak wołanie o pomoc. Ktoś wołał.

Ula pospieszyła w tamtą stronę. Ciotka i tak zanurkowała w paprocie i zniknęła jej z oczu.

Niedaleko wśród rozrośniętych jabłonek i wiśni dostrzegła jakieś zabudowania. Za małym sadem krył się dom. Drewniane ściany gryzły się z doklejonymi pustakami, spomiędzy których wypłynąć chciało spoiwo jak majonez z kanapki. Dachówka z jednej strony dachu odpadła. Zasłona w drzwiach. Ławka pomalowana na zielono. Pranie na sznurze. Przewrócony stary rower. I wysoka grządka, niezasiana, niekwitnąca. Dookoła jabłonie i wiśnie.

I dwóch chłopców, młodszy i starszy. Teraz ich zauważyła. Stali bez ruchu w gęstych krzakach i spoglądali w dal. Jeden z nich miał niebieskie, lśniące w słońcu włosy. Odbijały się na tle zieleni drzew. W rękę trzymał aparat.

– Piotrek! – Z domu dobiegł kobiecy głos.

Zawtórowało mu szczekanie psa. Chłopcy wyskoczyli z krzaków i pobiegli do domu.

Ula nie mogła sobie przypomnieć, co to za dom i kim są ci ludzie. Czy aż tak bardzo zmieniło się wszystko przez ten czas, kiedy jej nie było?

Z domu dobiegł kobiecy śmiech. Wplątał się w lekki wietrzyk, który wciąż poruszał liśćmi jabłoni, i w groźny pomruk dochodzący gdzieś zza horyzontu zakończonego wysokimi chaszczami traw.

Zamiast wrócić do ciotki i jej grzybów, na dobrą ścieżkę, poszła w tamtą stronę, wmieszała się w wysokie łąki. Dotarła na skraj ogromnej czarnej dziury w ziemi. Dziura w sercu, nie do zaszycia.

Stała nad kopalnianym wkopem, wydrążonym w ziemi. Wielka kopalnia węgla brunatnego. Wymarłe morze. Morze martwe. Resztki i szczątki na jego brzegach skarłowaciały i szerniały. Niechlujne tarasy schodziły w dół, do środka już dawno wygasłego krateru. W czarnej ziemi, jak w gawrze, krył się zwierz i mrucał groźnie.

Na drugim końcu krateru pracowała zwałowarka. To ją słyszeć było w całej okolicy. Gwiazdny statek z odległej galaktyki męczył się i wypluwał strumień ziemi, wiedząc, że do końca świata nie zasypie powstałej dziury. Zostanie na zawsze – czarna dziura w ziemi. Dziura w sercu, nie do zaszycia.

W oddali wymarłą kopalnię otaczał płot wiatraków. Wywijały monotonnie rozczapierzonymi palcami w kierunku kosmicznej maszyny ze stali. Walka wiatru i ziemi. Kto ją wygra?

Ula nie zastanawiała się nad tym. Jej uwagę przykuło coś innego. Nad brzegiem wkopu stała postać. Ula nie mogła rozpoznać ciemnej sylwetki kryjącej się w wysokich trawach. Nawet tego, czy to kobieta, czy mężczyzna. Stała przez chwilę, po czym odwróciła się i rozplynęła w trawie i w powietrzu.

Groźny pomruk wciąż na nią warczał. Kiedy wróciła, las nie odzywał się do niej, zamknął usta. Po ciotce nie było śladu.

– Ciociu! – zawołała niepewnie.

Wiatr jedynie zarechotał.

Krzyknęła raz jeszcze, tym razem głośniejszym głosem. I odpowiedział jej niemrawy głos ciotki albo echa. Zaczęła biec. Poślizgnęła się na paru szyszkach, które las rzucił jej pod nogi. Parę gałęzi zamierzało ją zatrzymać. Zostawiły jedynie małe szramy.

Zastała ciotkę na niewielkiej polanie otoczonej gęstymi zasiekami krzewów. Światło pasami przeciskało się przez pnie. Gosia kuciała koło złamanego drzewa. Torba z grzybami leżała rzucona w kąt. Zresztą nie było tam ich wiele.

Ciotka przeczesła trawę koło pnia i szybko wstała.

– Gdzie byłaś? – Gośka odwróciła się do niej.

– Zagubiłam się trochę. – Ula poczuła, że musi się wytłumaczyć.

– We własnym lesie? Znasz go od dziecka.

– Widocznie zapomniałam. Albo to las się zmienił. Może to już nie jest mój las.

– Gadanie – burknęła ciotka i poszukała wzrokiem torebki z grzybami. – Las się nie zmienia. I nie zapomina, tak jak my.

– Może i tak. – Ula nie miała ochoty z nią dyskutować.

Znalazła jej kijek leżący w krzakach i podała ciotce. Jego koniec był ścięty ostro jak kosa. Kosa do grzybów. Dostała ją od babki.

– A co to za miejsce? – zapytała, kiedy ciotka skierowała się między drzewa.

– A tam, takie... – Ciotka przyspieszyła kroku. – Miejsce jak miejsce. Chodź. Tu grzybów nie znajdziemy. Nie teraz. Może w październiku.

Ula podeszła do ściętego pnia drzewa, gdzie kucała ciotka. Kępy trawy nie zakryły wszystkiego. Suche, powiązane jakoś za sobą patyki wetknięte krzywo w ziemię. Małe niezdarne krzyżyki. Między nimi stary plastikowy kwiatek, wyblakły czerwony. Obok zaschnięte dawno konwalie. Mały grobek. Cała tajemnica. I tyle.

– Idziesz?! – Ciotka zniknęła już między drzewami.

Ula dogoniła ją.

– Co to?

– Mówiłam, las. Drzewa, krzaki, gałęzie. Miejsce jak miejsce. Chodź, bo się znowu zgubisz. Babka powie, że już jesteś pierdołą z miasta. Z miastaście, gapaście.

Ciotka się nie zatrzymała. Swoją drewnianą kosą torowała sobie przejście między krzakami.

– Nie widziałam nigdy tego miejsca. – Ula nie odpuszczała.

W oddali znowu wrzask jakiś pognał nad drzewami. Odwróciły się obie w tamtą stronę.

– Jakby dziecko krzyknęło. – Ula nasłuchiwała.

– To ptak.

Zbliżały się do granic lasu. Wokoło zrobiło się jaśniej. Zaczęły bzyzczyć bąki w wysokich trawach, na wieczór, na noc. Sygnał do odwrotu.

– Nie mów nic babce o polance. – Ciotka odwróciła się przez ramię. – Powie, że byłaś ślepa.

Widocznie była ślepa. Ślepa pierdoła z miasta. Jak powie babka.